

POŻEGNANIA

Buster Keaton filmu animowanego Wspomnienie o Janie Lenicy



(1928-2001)

Mawiał, że tworzył filmy o sobie i grałby w nich sam, gdyby miał twarz Bustera Keatona. Ale miał kamienną twarz wielkiego komika. I wielkie, choć skrywane za nią, poczucie humoru. Trzeba go było bliżej poznać albo sięgnąć do jego dzieł (rysunków i filmów), by się o tym przekonać. Na co dzień niemal się nie uśmiechał i niewiele mówił. Oszczędzał słowa i gesty na celne puenty, drobne, często nie pozbawione autoironii żarty.

Nie lubił rozmawiać o swojej twórczości. Powiadał, że nie po to robi filmy, aby o nich gadać. Unikał tłumów i blasku reflektorów. Na rok przed śmiercią na festiwalu w Ottawie nie wyszedł na scenę podczas własnej retrospektywy. Nie przyszedł nawet do kina. Wolał przesiadzić całą poświęconą mu uroczystość w hotelowej kawiarni.

Stronił też od splendorów, jeśli groziły zburzeniem jego utartego stylu życia. Lubił klimat wielkomijskich kawiarni i związane z nimi rytuały, spotkania. Kiedy po roku gościnnych zajęć na Harvardzie zaproponowano mu na tej uczelni stałą posadę, odmówił. Później tłumaczył, że z nudów musiał się tam z żoną nauczyć grać w szachy.

W typowy dla siebie sposób banalizował początki polskiej szkoły plakatu, do której międzynarodowych sukcesów sam się walnie przyczynił. *Myśmy to robili w zupełnej niewiedzy tego, co się działo wówczas na świecie* – mawiał. Podobną opinię głosił też o swoich (i Borowczyka) pierwszych, nowatorskich filmach: *Byłem barbarzyńcą, który wchodzi do ogrodu i tratuje kwiaty*. Z pewną nostalgią jednak wspominał swobodę twórczą tamtych PRL-owskich czasów, kiedy to nikt nie mówił mu, jak mają wyglądać jego filmy i plakaty. Kłopoty z producentami zaczęły się później.

Zawsze był przygotowany na najgorsze. Nie tryskał optymizmem, niepowodzenia przyjmował ze stoickim spokojem. Do końca chyba sam nie wierzył, że jego ostatni projekt filmowy, *Wyspa R.O.*, kiedykolwiek się zmaterializuje. A czekał na jego realizację czterdzieści lat.

Nie umiał rozpychać się w życiu łokciami, zabiegać o swoje pomysły. Będąc jednym z największych artystów plakatu i filmu animowanego, utrzymywał się głównie z uczenia i malowania ilustracji do książek dla dzieci. Od 1979 roku do rozpoczęcia produkcji *Wyspy R.O.* przed trzema laty filmów właściwie już nie robił. To wielka strata dla światowego kina.

Ostatnio nie dopisywało mu zdrowie. Starał się to lekceważyć. Zaniedbywał wizyty u lekarzy. O tym, że przeszedł zawał serca, dowiedział się z późniejszych badań. Pytany o samopoczucie odpowiadał, parafrazując Boya: *Na starość człowiek parszywieje*. Nie był skłonny jednak rezygnować z pewnych przyzwyczajzeń, drobnych radości życia, między innymi kilku lampek wina dziennie (w południe białe, później już tylko czerwone). Gdy zapraszano go na wspomniany festiwal w Ottawie, zażyczył sobie, by organizatorzy pokryli też koszty podróży asystentowi, który miał przypominać mu o regularnym braniu leków. Zapytałem go, czy w tej roli nie mógłbym wystąpić ja, skoro i tak do Ottawy się wybierałem. Odparł: *Ty nic nie rozumiesz. Chodzi o to, żeby asystentem była młoda i piękna kobieta!*

Narzekał, ale wciąż miał wiele planów. Przygotowywał się do retrospektywnej wystawy w Muzeum Narodowym w Poznaniu, pracował nad autobiograficzną książką *Labirynt Jana Lenicy*, kończył z doskoku film w Warszawie. Wiadomość o jego ciężkim stanie i hospitalizacji przyszła niespodziewanie. Raoul Servais, wielki belgijski animator, jego rówieśnik i przyjaciel, napisał mu kilka słów otuchy, które niestety nie dotarły na czas (cytuję za pozwoleniem autora):

Słyszałem, że ostatnio masz problemy ze zdrowiem. Ach, Drogi Przyjacielu, my, weterani filmu animowanego, musimy być traktowani jak stare filmy celuloidowe: delikatnie, z miłością i szacunkiem. Życzę Ci takiej właśnie opieki i mam nadzieję, że odnajdę Cię w pełni sił, gdy się znów zobaczymy.

Już się z Nim nie zobaczymy, ale pozostaną nam Jego piękne filmy, plakaty, rysunki...

MARCIN GIŻYCKI